

Mahanoro dnia 19 września 1981 r.

*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!
Drodzy Przyjaciele Misji Oblackiej na Madagaskarze!*

Z mojego „Dziennika Korespondencji” wynika, że dziś mija miesiąc od napisania ostatniego listu. Niedługo wyprowadzę się z domu zbudowanego nad brzegiem Oceanu Indyjskiego i chcę jeszcze raz podzielić się wrażeniami tutaj przeżyтыми. Zastanawiam się też, co się stało, że tak mało listów do nas dociera? Wiem, że zastrajkowali pocztowcy francuscy i we wrześniu nie otrzymaliśmy nawet polskich gazet, chociaż listy z innych państw dochodzą. W przysłanym mi miesięczniku „Espero Katolika” wydawanym w Rzymie przeczytałem mój list wysłany do Krakowa (jak się dostał do Rzymu?) i zdjęcie zrobione przed naszym klasztorem w Poznaniu po Mszy Świętej połączonej z rozdaniem Krzyży misyjnych odprawianej przez Księdza Arcybiskupa Jerzego Strobę. Ja tego zdjęcia nie otrzymałem i nigdy nie widziałem! W języku esperanto listów mam sporo. Ale też w busie już raz rozmawiałem po niemiecku i powtarzałem gramatykę łacińską z pewnym nauczycielem. Straszą mnie, że wkrótce będę przeegzaminowany z języka rosyjskiego przez studentkę z Moskwy, która pochodzi z pobliskiej wioski. Jak widzicie, znane są tu języki obce oprócz malgaskiego i francuskiego - te dwa języki tutaj nie są językami obcymi.

W końcu sierpnia ujrzałem po raz pierwszy mój przyszły dom. Przygotowania do podróży są zawsze poważne i czasochłonne. Dzień Matki Boskiej Częstochowskiej postanowiliśmy spędzić wspólnie w Marolambo (co znaczy „dużo dzikich świń”). W linii prostej z Mahanoro jest około 80 km, na liczniku w land-rover'ze było 130 km. Zmęczyłem się siedząc w samochodzie przez 9 godzin, nie licząc czasu postojów przy przeprawie promem przez Mangoro, na misji w Ambinanindrano i na posiłek nad strumykiem. Bardziej zmęczył się kierowca, który nie przekroczył nigdzie szybkości 35 km/godz. Droga piękna, rzadko przejeżdża się przez wioski. Prawie przez cały czas jedzie się w tropikalnym lesie, a przynajmniej przez gęste zarośla tak, że w górskim terenie i z powodu bardzo krętej drogi widać kilka lub kilkanaście metrów i o wypadek bardzo łatwo. Pojazdy pokazują się bardzo rzadko i my na ostatnim 60-kilometrowym odcinku wymijaliśmy jeden traktor. Przez ponad 30 kilometrów droga prowadzi nad brzegiem rzeki Nosivolo (co znaczy „wyspa bambusowa”) i z prawej strony samochodu w dole widzimy liczne wodospady i zakola, z lewej strony zwykle stromizny szczytów. Często przejeżdżamy przez strumyki bez mostów, na niektórych są mosty, jeden nawet długi nad większą, ale płytką, szeroką rzeką, która jest granicą między województwem Mahanoro, a Marolambo. Droga zniechęca do częstego wyjeżdżania z misji. Na szczęście nasz samochód spisuje się dobrze i jest nadzieja, że potrzebne rzeczy będzie można tu dowieźć. Ostatni kilometr, to wyasfaltowana ulica miejska! Zajechaliliśmy do domu już wieczorem i niewiele mogłem zobaczyć. Zjedliśmy kolację i każdy poszedł do swego pokoju oświetlonego lampą naftową.

W Marolambo mam już przygotowane mieszkanie w narożniku drewnianego domu, na piętrze, od strony północno-wschodniej, czyli najbardziej nasłonecznionej, z widokiem na wojewódzkie miasteczko, chociaż liczy około tysiąca mieszkańców. Dom został zbudowany ponad 50 lat temu, parterowy, ale jest w dobrym stanie i tak solidny, że można było dobudować piętro. Deski nie są ani heblowane, ani zabezpieczone przed pasożytami, a jednak żaden robak nie atakuje drewna. Nieco niżej jest duży kościół drewniany, który nawet w Polsce uchodziłby za przesłiczny. Po schodkach schodzi się na asfaltową ulicę miasta, po prawej stronie schodów jest piękna grotka Matki Bożej z zacementowanych kamieni.

Przyjadę tu na stałe za miesiąc i zajmę się sadzeniem drzew owocowych dookoła domu. Teren misyjny jest spory, a owoców dla mnie za mało. Mam chęć zjadać codziennie przynajmniej kilogram (żał Wam?) i to takich, których Wy nawet z nazwy nie znacie. Ale na niektóre będę musiał czekać przynajmniej półtora roku, na inne znacznie dłużej. Najszybciej powinny urosnąć papaje bogate w witaminę A. O jedzeniu wystarczy, bo Wy w Polsce przecież głodujecie, straszliwie Wam zdrożał chleb, ale być może Wam nie braknie. Ja zaś mam chleb,

choć tylko na misji. Podczas obchodu misyjnego trzy razy na dzień jadam tylko ryż. Ludzie chleba nie mają i za nim nie tęsknią.

W dniu Matki Boskiej Częstochowskiej odprawiliśmy Mszę Świętą po polsku, śpiewając także polskie pieśni. Homilia też była po polsku. Podczas takich spotkań głosimy po kolei, poczynając od najmłodszego z naszej piątki. Po Mszy Świętej odśpiewaliśmy polskie Godzinki o Niepokalanym Poczęciu Matki Bożej. Potem zasiedliśmy przy „okrągłym stole” dzieląc się doświadczeniami zdobytymi w ciągu trzymiesięcznego stażu pastoralnego, który zakończymy za miesiąc. Wtedy już będzie nas trzech w Marolambo, razem z dwoma francuskimi Montfortenami pozostającymi tu do ich urlopów w Europie. Oni to będą nas wprowadzać w pracę duszpasterską i misyjną na tym terenie. Na razie od maja jest tu O. Marian, od dziś pozostanie Ojciec Jan Kely po stażu misyjnym w misji Ilaka, ja zaś przyjadę za miesiąc. Najdalszy sektor przypadł wzrostem najmniejszemu z nas, Ojcu Janowi, ma około 100 km do najdalszej wioski. Ojciec Marian też już powrócił z dalekiej wyprawy. W moim sektorze jest łącznie tylko 17 wspólnot, chociaż wiosek jest znacznie więcej. Przed laty było nawet ponad trzydzieści wiosek, w których były wspólnoty katolickie. Teraz są „katolicy”, ale już się nie modlą. Po obiedzie (i sjeście, o czym nie należy ani zapominać, ani dodawać, tak jest to oczywiste na Madagaskarze) znów zasiedliśmy do stołu. Tym razem czytaliśmy ciekawsze listy z Polski. Przyjął się zwyczaj odczytywania listów pisanych przez Oblatów i wysyłanych do któregośkolwiek z naszej grupy. Na samym początku kolacji opuścił nas Ojciec Marian udając się do łóżka, ale na szczęście rankiem malaria już nim nie trzęsła. Natomiast na drugi dzień udaliśmy się na piknik przy wodospadzie, który jest dobrze widoczny ze szczytu pagórka obok domu misyjnego i należącego do misji. Cały ten pagórek jest porośnięty lasem i krzewami, które dają trochę desek i okazję do kradzieży. Przejechaliśmy pirogą przez rzekę Nosivolo i piękną drogą samochodową dotarliśmy pod sam wodospad. Brodziliśmy po wodzie przelewającej się między głazami jakby narzuconymi w koryto rzeki. Na drugi brzeg nie udało się nam dotrzeć, za to na nasz brzeg powróciliśmy krótszą drogą po suchych kamieniach. Po posiłku powróciliśmy na misję (5 km) przejeżdżając tą samą pirogą w tym samym miejscu, co o poranku.

Droga powrotna sanochodem do Mahanoro była łatwiejsza nie tylko dlatego, że jechaliśmy z góry. Jechało nas trzech i wszyscy mogliśmy siedzieć w kabinie. Ojcowie Franciszek i Jan pozostali w Marolambo. Ten nasz współbrat został nazwany przez Księdza Biskupa „Kely” już nazajutrz po naszym przylocie do Tamatawy dla odróżnienia ode mnie, któremu Ksiądz Biskup nadał przydomek „Be”. I tak już pozostało. Nie zatrzymaliśmy się nawet w Ambinanindrano, pozostawiając kościół po lewej stronie. Nie wstąpiliśmy też do Marotsiriry. Po przybyciu do domu w Mahanoro po kolei okupowaliśmy kabinę z natryskiem o ciepłej wodzie bez podgrzewania.

W połowie września udałem się znów sam na sześciodniowy obchód do misji Masomeloka. Poza misją odwiedziłem cztery wioski. Najpierw przejazd przez rzekę i pięciokilometrowy marsz pomiędzy ryżowiskami. Plastikowe sandały ułatwiały przejście po śliskim błocie. Ścieżki pokonywane w polskich sandałach przypominały mi początkującego pianistę, który najprostsze utwory gra z największą trudnością: szedłem częściej boso, niż w obuwiu. Mam też dobry kij, który ułatwia mi przejście po nierównym terenie, zwłaszcza w górach. Wioska była duża, chrześcijanie też bardzo liczni, pięknie śpiewali. Wypadła pełnia księżyca i podziwiałem dzieci śpiewające i tańczące na werandzie domu. Rano przewodnik pokazał mi wioskę, w której nie zatrzymaliśmy się. Są tam chrześcijanie, ale nie mają kościoła i „raczej” nie modlą się. Potem weszliśmy na zadziwiająco piękny pagórkowaty teren poprzecinany ścieżkami we wszystkich kierunkach. Po godzinie doszliśmy do laguny. Mój przewodnik i tragarz wszedł kilka metrów i zawrócił. Zrobiliśmy kółko w poszukiwaniu właściwego przejścia i za pół godziny znaleźliśmy się w tym samym miejscu. Do przejścia było 70 metrów. Mój przewodnik zapadał się po kolana, ale był dużo lżejszy, więc ja zapadałem się znacznie głębiej. Zauważyłem, że można iść po wielkich, bardzo szerokich, liściach przypominających liście bananów i wtedy nie zapadałem się w błoto, jedynie woda dochodziła do połowy łydek. Za laguną droga była piękna, oświetlona tropikalnym słońcem, żółty piasek złocił się wśród lasu, chociaż były też ryżowiska i wtedy szedłem po grobli. Pięciometrową rzekę pokonałem w pirodze. Mój przewodnik przeszedł po

dwóch bambusach opartych w wodzie na zaroślach. Trzeba podziwiać ich zręczność i odwagę. Widziałem ich wciągających się po gałęziach na drzewa owocowe i nie dziwię się, że Darwin wymyślił swoją teorię ewolucji podczas podróży do Afryki. Chwytają się niższych gałęzi i podciągają się do góry bez widocznego wysiłku.

Właśnie po przejściu przez tę lagunę pytałem przewodnika, czy na Madagaskarze nie mają twardych małych owoców, z których dałoby się zrobić różaniec? Przez tę modlitwę tak dużo łask ludzie zyskali od Boga na pośrednictwem Maryi, może warto popracować także w tym kierunku? Różaniec widziałem w rękach starszych, ale dzieci znają tylko nazwę takiego przedmiotu i wiedzą, że można się modlić trzymając coś w ręku. Sam nauczyłem się już obracać na palcu kółko różańcowe kupione w Lourdes, ale właśnie w tej lagunie je zgubiłem i to było okazją do postawienia takiego problemu. Podczas innego obchodu niosłem różaniec „zwykły” i dwukrotnie przyłapałem się na bluźnierstwie. Przy bardzo trudnych i śliskich zejściach, gdy trudno było znaleźć pewne oparcie pod stopę, w ręku przeszkadza wszystko z wyjątkiem kija. Ale jak można pomyśleć tak o różańcu, który chciałem chować do kieszeni? Wspomnienie katolickich żołnierzy walczących pod Lepanto nie pozwala mi chować różańca nawet na kilkanaście sekund. Podpieram się dobrym kijem i chyba nie byłbym Polakiem, gdybym nie umieścił na nim czerwonego znaku Krzyża i niebieskiej litery „M” pomiędzy innymi mniejszymi literami „O” i „P”. Ludzie nie są przyzwyczajeni do jakichkolwiek oznak kapłańskich, dlatego przerazili się ujrzawszy „krew” na moim kiju. Myśleli, że się skaleczyłem. Ja jednak wyjaśniłem moim prostym malgaskim: „zwyczaj polski - krzyż misjonarski”. Chociaż żadnych oznak ksiądz nie musi tutaj nosić. Wystarczy znak naturalny, że należy do rasy białej, bo człowiek biały innego wyznania w obecnych czasach podobno tu nie zachodzi.

W drugiej wiosce nie byłem oczekiwany, gdyż list z programem nie dotarł. Poza tym trafiłem na doroczne święto. Wezwany do pilnowania porządku policjant został przeprowadzony do innego domu, gdyż mnie umieszczono na jego miejscu w „ładnym domu”. Dla misjonarza jest do dyspozycji zawsze najładniejszy budynek w wiosce. Na Mszy Świętej niewiele osób, prawie nie ma dzieci. Wieczorem nikt nie przychodzi śpiewać, zaś przez całą noc trwa zabawa: głośna, nawet hałaśliwa, z pewnością rum wspomaga ich radosne zachowanie. Szkoda, że wizyta misjonarza wypada podczas takiego święta. Rano zaś nie ma modlitw, dostaję wodę do mycia i kubek kawy, a dopiero przed dziewiątą „na śniadanie” ktoś przynosi mi wiadomość, że piroga już czeka. Całe cztery godziny siedziałem w wygodnej, szerokiej pirodze, mogąc poruszać nogami. Przez cały czas podziwiałem bujną zieleń po obu stronach szerokiej rzeki. Kwiaty są piękne, chociaż niewielkie i giną wśród bujnej zieleni. Widziałem dużo dzikiego ptactwa. Bagna wokół rzeki są porośnięte wodnistymi krzakami podobnymi do bananowca: mają bardzo duże liście, ale nie mają owoców. Niespodziewanie dla mnie piroga zatrzymała się przy brzegu i kazano mi wysiąść, chociaż nie zauważyłem żadnej chaty. Po przejściu stu metrów znalazłem się w dużej wiosce, przez którą przejeżdżałem do Masomeloka. Wioska niemal wymarła, ale na Mszę Świętą przyszło pół setki ludzi, pełny kościół. Około piętnaście osób przystąpiło do Komunii Świętej. W tej wiosce jest rozlatujący się kościół i regularne niedzielne modlitwy, chociaż nie ma nauki katechizmu. Wieczorem dzieci odwiedziły mnie w dużym domu i bardzo długo śpiewały, a muszę przyznać, że znały dużo pieśni. Jednej nowej już mogłem ich nauczyć. Rano odprawiłem Mszę Świętą i po śniadaniu katolicy przyszedli mnie pożegnać. Tutaj po raz pierwszy spotkałem się z prośbą, abym pobłogosławił ich na pożegnanie. Oczywiście, że z radością to zrobiłem przypominając sobie mój pobyt na Słowacji, gdzie prosiła mnie o błogosławieństwo rodzina, u której mieszkałem przez kilka dni. Ale kto nauczył tego Malgaszy w brusie? Czekałem na samochód, który przyjechał na drugi dzień przed południem. Wyglądałem na niezłe opalonego, ale tylko do czasu wyjścia spod natrysku.

Po raz pierwszy od kwietnia mogłem wyglądać jak człowiek, gdyż jeden z misjonarzy mnie ostrzygł. Nareszcie, gdyż nie lubię grzywy. Inny nasz „fryzjer” obiecał mnie ostrzyć przed miesiącem, lecz zachorował (zjadł nie ten kawałek ryby, który należało). I dopiero w domu dowiedziałem się, że w ostatniej wiosce, skąd przyjechałem samochodem Hindusa i muzułmanina, kościół nie rozlatuje się, lecz jest w budowie.

Dochodzą mnie wieści, że w Polsce dzieją się przeróżne rzeczy. Przed jedną chciałbym ostrzec. Do naszych rodzin przychodzą nieznani ludzie, którzy przeprowadzają wywiady i proszą o listy misjonarzy. Ja dziennikarzy bardzo cenię za odwagę pisania nieprawdy i nieograniczone wprost zdolności wymyślania rzeczy, które mogłyby się zdarzyć, gdyby wiecej ludzie czytali ich artykuły. Ale ludzie mało czytają i dlatego życie toczy się inaczej, co wcale im nie przeszkadza nadal przewidywać (fałszywie). Dlatego proszę nikomu nie pokazywać moich listów, chyba że należą do redakcji czasopism naprawdę katolickich. Ale tacy do mnie napiszą sami.

Pojeździłem trochę samochodem bojąc się, że na dziurach może się przewrócić. Pociuszają mnie, że land-rover dobrze wyważony łatwo daje się postawić. Właśnie dziś czytałem w gazecie, że za 5 lat będziemy mieli autostradę aż do Marolambo. Będą budowali Malgasze przy współpracy z ZSRR. Poczekamy trochę, to zobaczymy.

A Przyjaciołom Misji dziękuję za okazanie cierpliwości, której znakiem jest doczytanie tego listu do końca.

*Z serdecznym pozdrowieniem
w Chrystusie i Maryi Niepokalanej
O. Jan Sadowski, OMI*

PS. Pewnej niedzieli, po pobożnym wysłuchaniu Mszy Świętej, gorliwa katoliczka poszła do swojej siostry „zajrzeć jej w garnek”. Gotująca stała przy kuchni i utrudniała podglądanie tej czynności, dlatego wizytatorka zapytała: „Co gotujesz na obiad?” - „Wątróbkę” - odpowiedziała gospodyni już teraz szczęśliwa. „Daj skosztować!” - poprosiła jej siostra. „Eee... - próbowała znaleźć racjonalny powód mieszając w garnku - same kości”. Jest to jedyna znana mi wątróbka z kością. Czy pomożecie mi znaleźć inne dziwne potrawy, że stałyby się symbolem takiej siostrzanej miłości?

* * * * *